№ 25.

Warszawa, dnia 20 Czerwca 1863 r. 8 Czerwca.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp, 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki,** prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

Od Redakcji.

Z dniem 1 Lipca b. r. kończy się prenumerata na pierwsze półrocze *Tygodnika Mód,* który pod temi samemi warunkami co i dotąd wychodzić będzie i w drugiem półroczu. Dla uniknienia zwłoki w odbiorze raczą Szanowni Prenumeratorowie składać wcześnie przedpłatę na właściwych Stacjach Pocztowych, do przyjmowania któréj, wszystkie Poczta nta upoważnione zostały przez Zarząd główny w Królestwie.— W Cesarstwie zaś oprócz przesyłania pieniędzy wprost do Redakcji, prenumerować można za pośrednictwem księgarni w Wilnie, Żytomierzu i Kijowie.

Po ukończeniu wkrótce powieści p. Pauliny Wilkońskiéj Mrowin i Trock, rozpoczniemy druk powieści historycznéj z końca panowania Jana Kazimierza. Wszyscy nowi Prenumeratorowie za zgłoszeniem się do Redakcji, odbiorą w odbitce tę część powieści p. Wilkońskiéj, która w pierwszém półroczu *Tygodnika Mód,* była drukowaną.

Chociaż regularne odbieranie pisma naszego, wyłącznie od ekspedycji pocztowéj zależy, wszelkie jednak zażalenia wyniknąć mogące z tego tytułu, z jak największym pośpie chem starać się będziemy załatwiać. W wypadku więc nie dojścia których numerów, raczą Szanowni Prenumeratorowie udawać się wprost do Zarządu poczt adresując: Do Ekspedycji Gazet w Królestwie, na papierze bez stempla i bez opłaty portorji. Cena prenumeracyjna pozostaje ta sama, a mianowicie: — *w Warszawie* kwartalnie złp. 10 (rs. 1 kop. 50); półrocznie złp. 20 (rs. 3); rocznie złp. 40 (rs. 6). *Na Prowincji,* rocznie złp. 50 (rs. 7 kop. 50); półrocznie złp. 25 (rs. 3 kop. 75). — *W Cesarstwie i Królestwie*, z dopłatą kopert pocztowych, rocznie złp. 63 gr. 10 (rs. 9 kop. 50); półrocznie złp. 31 gr. 20 (rs. 4 kop. 75).

ELEKCJA I WJAZD UROCZYSTY

HENRYKA WALEZJUSZA

DO KRAKOWA.

(Dalszy ciąg).

Z chwilą rozpoczęcia sejmu elekcyjnego, książe Pruski powtórnie ponowił żądanie na sejmie przedelekcyjnym przedstawione, aby mógł zarazem z innemi należyć do wyboru króla. To samo przedstawił także książę Kurlandzki i Pomorski, ale wszystkie te trzy poselstwa, nic nie wskórały, i prawo obierania króla samym tylko senatorom i szlachcie koronnéj i litewskiéj, tudzież prowincji do Korony lub Litwy przyłączonych przyznano. Po załatwieniu się z książętami, przypuszczono do audjencji posłów od dworów cudzoziemskich, i najprzód wystąpił kardynał *Commendoni* poseł Papieża Grzegorza XIII, który imieniem Ojca św. długą i uczoną mową, radził Stanom wybrać króla gorliwego o całość katolickiéj religji., która tyle uszczerbku przez zamachy heretyckie poniosła. Potém wystąpił Wilhelm Rosenberg poseł cesarza austryjackiego Maksymiljana II, już od lat kilku, jeszcze za życia Zygmunta Augusta, konszachtującego o zapewnienie tronu polskiego dla syna swego Ernesta.

Ponieważ Rosenberg był Czechem, dla chwycenia przeto za serce zgromadzonych Stanów Rzeczypospolitéj, mowę miał po czesku, w języku jak wiemy bardzo zbliżonym do polskiego, a pragnąc skłonić naród dla protegowanego przez siebie kandydata, w imieniu jego obiecywał złote niemal góry i wyliczał ogromne pożytki, jakie spłyną na Polskę z obioru na tron arcyksiążęcia. Pomiędzy wielu innemi przede wszystkiém przyrzekał, znając usposobienie narodu i zamiłowanie jego w swobodzie obywatelskiéj, potwierdzenie wszelkich praw obowiązujących, ich jak najścislejsze szanowanie i wykonywanie. Przyrzekał przytém odpadłe kraje od Rzeczypospolitéj odzyskać, sprzeczki między niemieckiem państwem a Polską o Inflanty i Prussy uspokoić; założyć szkołę dla stu Polaków szlacheckiego rodu w Niemczech lub w innem jakiém państwie i takową własnym kosztem utrzymywać. W zakończeniu głoszonych przyrzeczeń, jakby na zapicie sprawy, przyrzekł wreszcie Rosenberg, wyjednać u Rudolfa króla Węgierskiego, a brata arcyksięcia Ernesta, wolne sprowadzanie win z Węgier do Polski.

Pewny tryumfu swéj sprawy, a pragnąc poniżyć Francją, Rosenberg opuszczając mównicę, prosił zgromadzone stany o danie zaraz po nim posłuchania Don Pedrze Fassardo posłowi dworu hiszpańskiego, jako że jedne tak Wiednia jak Madrytu były życzenia wyniesienia na tron Ernesta. Ale tu nie szło o poparcie kandydatury paniątka austryjackiego, tylko o wyjednanie w porządku audjencyjnym pierwszeństwa dla Hiszpanji, a tém samém ubliżenia Francji, gdyby jéj trzecie miejsce przeznaczone zostało. Na wybiegu tym poznał się poseł francuzki Jan Montluc biskup Walencji, i wystąpiwszy natychmiast w obronie honoru swego króla, tyle sprawił, że Stany Rzeczypospolitéj stanęły po jego stronie, i jemu pierwszeństwo, w audjencji przed posłem hiszpańskim przyznano. Że zaś drobnostki podobne, w matactwach dyplomatycznych wielkie mają znaczenie i uchodząc maleńkością swą uwagi pospolitych ludzi, na szali dyplomacji przemieniają się w olbrzymy i często nad samą rzeczą odnoszą pierwszeństwo więc i tu doznawszy porażki poseł hiszpański, a lękając się porażki swego dworu gdyby się zastosował do woli obradujących Stanów, zrzekł się zupełnie audjencji, i z pola elekcji do Warszawy ustąpił. Poseł więc francuzki zwyciężył, otucha więc pobicia kandydatury austrjackiéj ożyła w nim w całéj pełni, do czego już poprzednio utorował sobie drogę przez wydanie broszury pod imieniem szlachcica polskiego, zbijającéj zarzuty i paszkwile na Francją po Polsce szerzone.

A zarzuty te, niemałego były znaczenia; rzeź Hugonotów dopełniona w sam dzień S. Bartłomieja w Paryżu, jak widmo okrucieństwa i ostatniéj szkarady, straszyło szczególniéj dyssydentów polskich, nie mogących przywiązywać wielkiéj wiary w tolerancją religijną panującéj rodziny, co się skaziła tak srogiem okrucieństwem. W mowie więc do Stanów, polecającéj na tron Henryka księcia Andegaweńskiego, z rodu Walezjuszów, biskup Walencji Jan Montluc, wierny francuzkiéj galanterji, naprzód wysypał zręczne pochwały narodu polskiego, jego męztwa i wspaniałości umysłu, potém przystąpił do wyliczenia korzyści jakie spłyną na Polskę z obioru księcia Henryka, które sypane hojną ręką, o wiele przewyższały obietnice dane przez posła austryjackiego. Co zaś do zarzutu rzezi Hugonotów, jakoby za sprawą króla Francji i Henryka dokonanéj, starał się ich jak najdelikatniéj i najgruntowniéj uniewinnić, do czego mu dopomogła poprzednio wydana broszura i samo usposobienie Stanów dosyć nieprzyjazne dyssydentom, które się już na początku sejmu w odmowie przyjęcia zawartego z niémi przymierza okazało.

Mowa ta silne na zgromadzonych Stanach zrobiła wrażenie, tymbardziéj, że Montluc nie żałował ani krasomówstwa, ani obietnic, które zawsze łatwiéj robić jak dotrzymać. Przytém do poparcia kandydatury Henryka szczególniéj był obowiązany przez króla swego Karola IX, nienawidzącego Henryka podejrzewającego go ciągle o spiski na swoje życie, i tém samém pragnącego się go pod pierwszym lepszym pozorem pozbyć z Francji raz na zawsze. Uzyskanie tronu polskiego wybornym do tego było środkiem i dlatego z całą zręcznością dyplomatyczną poseł starał się wywiązać ze swego zadania.

Po Montlucu wprowadzony został poseł Szwedzki Jan Lorch, wysłannik króla Jana III polecający na tron albo jego samego, albo syna królewskiego Zygmunta. Polecenie to opierał na pokrewieństwie króla swego z domem Jagiellonów; Jan III bowiem był ożeniony z Katarzyną Jagiellonką siostrą rodzoną Zygmunta Augusta, w synie więc ich Zygmuncie płynęła krew, tyle szanowanego przez Polaków rodu, który przez dwa blisko wieki panując na tronie Piastów, otaczał naród blaskiem potęgi i pomyślności, jakie wraz z jego wygaśnięciem zdawały się wstępować do grobu. Przytém obiecywał ustąpienie z niektórych miast Inflandzkich przez Szwecją w owym czasie posiadanych, wspólną pomoc przeciw nieprzyjaciołom od wschodnich granic, gdyby ci przymierza odmówili, i inne jeszcze nader ponętne pożytki, jakie miały spłynąć na Polskę, gdyby przedstawienie kandydatów szwedzkich miało im tron polski wyjednać.

Z Moskwy i z Konstantynopola przyszły tylko pisma, a posłów zupełnie nie przysłano. Pierwsze żądały korony dziedzicznéj i ustąpienie na wieczne czasy Inflant i Kijowa, drugie od Sułtana prawie rozkazująco zakazywały obioru Austrjaka, a przyjęcia na tron, albo księcia francuzkiego, albo Piasta, i w tym celu wskazywał, a nawet mianował, już z góry trzech kandydatów: Prymasa, Marszałka wielkiego lub téż Jazłowieckiego wojewodę ruskiego.

Zbyteczna ta troskliwość Sułtana, jakkolwiek obraziła Stany, jednak Piasta wprowadziła między kandydatów, i tym sposobem Stany podzieliły się na cztery partje; austryjacką, francuzką, szwedzką i Piasta pragnącą. Że zaś rozważenie przedstawionych przez kandydatów różnych dla kraju obietnic i korzyści ztąd na naród spaść mających, wymagało troskliwego zastanowienia się i dokładnego rozważenia rzeczy, każdemu kandydatowi dodano jednego senatora z obowiązkiem zalecania go na króla.

Kiedy głosy senatorów przedstawione zostały sejmowi najprzód upadła kandydatura Piasta, przeciw któréj szczególniéj powstał Zamoyski dowodząc, że obiór Polaka na króla nie tylko nie przyniósłby krajowi żadnego pożytku, ale nawet stałby się dla niego niebezpieczny. Potém zaraz po niedługich naradach odrzuconą została kandydatura szwedzka, elekcja więc rozdzieliła się między Ernestem i Henrykiem: Województwa dla narady udały się do swych namiotów. Przedtém jednak na wniosek Zamoyskiego nakazano ustąpienie z pola wszystkim stronnikom Piasta i posłom zagranicznym, aby przez to wolne obranie króla nie doznawało żadnéj przeszkody.

Przed przystąpieniem zaś do saméj elekcji, ułożono prawa, podług których obrać się mający król i wszyscy jego następcy mieli rządzić Rzecząpospolitą i zachować byli obowiązani. Artykuły tych praw opiewały co następuje.

Król, następcy na państwo za życia swojego mianować ani obierać, ani na ten koniec sejmu składać, ani komu do tego pomagać, owszem wzmianki o tém żadnéj pod jakimkolwiek pozorem czynić nie ma, aby zawsze wolne nowego króla po śmierci pierwszego obieranie stanom zostało. Król pana i dziedzica tytułu, od dawniejszych królów aż do Zygmunta Augusta używanego, nosić więcéj nie będzie; Dyssydentów w pokoju zachowa; wojny nie podniesie; szlachty na żadną generalną wyprawę nie wezwie; poboru nie nałoży: ceł nowych nie postanowi; posłów w sprawach walniejszych do dworów sąsiedzkich nie wyprawi bez dołożenia się stanów rzeczypospolitéj i onychże na sejmie zgromadzonych zezwolenia: w radach senatu, gdyby zdania niezgodne i rozdwojone były, ani do jednomyślności przywiedzione być mogły, król przychyli się do tego i za tém pójdzie, które się najdoskonaléj z pożytkami i z prawami narodu zgadzać będzie: przy boku swoim król statecznie mieć będzie po czterech co pół roku senatorów do rady, na co 16 z sejmu na sejm, 4 biskupów, 4 wojewodów i 8 kasztelanów naznaczonych zostanie: sejmy walne co dwie lecie, a gdyby gwałtowna potrzeba Rzeczypospolitéj wyciągała, tedy i częściéj składane będą, trwać zaś dłużéj nad 6 tygodni nie mają: urzędy i godności krajowe, starostwa i królewszczyzny samym tylko zasłużonym Polakom, a nie cudzoziemcom dawane będą: naostatek, że król ani żony nie pojmie, ani rozwodzić się z nią nie będzie bez wiadomości i dozwolenia senatu: na końcu przydano, że jeżeliby król przeciwko prawom, wolności umowom, artykułom, lub przysiędze w czém wykroczył, tedy poddani

tém samém wolni być mają od wierności i posłuszeństwa jemu przysiężonego.

Artykuły te dopełniały opisów wolności i panowania stanu szlacheckiego, władzę zaś monarchy sprowadzały do strzeżyciela tylko praw krajowych, aby te w niczém i od nikogo uszczerbku nie doznawały. Kiedy po ułożeniu ich przystąpiono do głosowania, zebranie głosów okazało się za Henrykiem, stronnicy więc jego zbrojno udali się na miejsce elekcji i królem księcia Henryka Andegaweńskiego obwołali. Austryjacka zaś partja, na czele któréj stał Firléj, głowa dyssydentów polskich, zobaczywszy jaki rzeczy wzięły obrót, ustąpili do wsi Grochowa, nie tyle jednak w chęci utrzymania Ernesta, jak raczéj w zamiarze otrzymania potwierdzenia przymierza z katolikami przed sejmem jeszcze zawartego.

Wysłani do nich od partji francuzkiéj kasztelanowie Jan Sierakowski, Hieronim Ossoliński, Jan Kostka tyle wymową swą dokazali, że dyssydenci ze swéj strony wyprawili Jędrzeja Górkę kasztelana międzyrzeckiego, na czele deputacji do zgromadzonych u wsi Kamienia Stanów. Porozumienie deputatów, żądających wolności dla swego wyznania, tudzież aby nowemu królowi do paktów, warunek ten był dopisany, wprędce nastąpiło, i gdy w całym narodzie przez to na księcia Henryka zgodzono się, Prymas go królem polskim mianował.

Tak więc pierwsza elekcja spokojnie zakończoną została, ale obozowisko szlachty pozostało na polu, bo jeszcze miało nastąpić zaprzysiężenie paktów konwentów przez posła francuzkiego w imieniu księcia Henryka, i urzędowe obwołanie go królem, przez Marszałka Wielkiego Koronnego.

Ale były to już tylko formalności, których jednak pomijać nie można było, zebrana więc szlachta w serdecznéj zgodzie napełniła obóz gwarem rozmowy, radząc nad losami ojczyzny, która nowém prawem obdarzyła swych synów, prawem nieznaném żadnemu z ludów europejskich.

(d. c. n).

NAJWIĘKSZA STROJNISIA.

Siostry moje czyż zgadniecie,
Gdy się rozum w myślach gubi,
Która z niewiast na tym świecie,
Najpiękniejsze stroje lubi?

Jest to pani można, hojna,
Wiek nie jeden liczy sobie.
Jednak zawsze cudnie strojna,
A inaczéj w każdéj dobie.

Prosta na wsi, pyszna w mieście,
Wdziękiem każde oko wabi,
Bo piękności w téj niewieście,
Żadna szata nie osłabi.

A tak dobra, tak nie płocha,
Taka wzniosła wśród swéj chwały,
Kto ją sercem raz ukocha,
Temu starczy za świat cały.

Gdy wiosenne włoży stroje,
To zielenią szaty wdzięczy,
A na skronie ma zawoje,
Z lazuru, śniegu i tęczy.

Świeża, luba jak dziewica,
Kwiaty w młodéj dzierży dłoni,
Piękna nawet gdy swe lica,
Czasem chmurką mgły zasłoni.

Gdy przywdzieje letnie szaty,
Jakże pyszna! jak wspaniała!
Pierś jéj zdobią róż szkarłaty,
Skroń namiętna ogniem pała.

Jéj turbanem strop niebiosów,
Wkoło skarby rzuca dłonią,
A płaszcz na niéj z złotych kłosów,
Co się z wiatrem lekko kłonią.

A w jesieni, o w jesieni,
Jaka świetna! jak błyszcząca,
Strój z purpury i zieleni,
Lśni się blaskiem barw tysiąca.

Zimą ległszy na pościeli,
Jak królowa na swym tronie,
Wdziewa szatę śnieżnéj bieli,
I w brylanty zdobi skronie.

Do spoczyuku wszystko wzywa,
Czasem całun chmur zarzuci,
I jak matka, dobra tkliwa,
Pieśń pokoju ziemi nuci.

Kim gorąca miłość władnie,
Kto w pielgrzymce swéj nie drzémie,
Wierném sercem zaraz zgadnie,
Tej strojnisi wielkie imie.

Co w przejawu każdéj scenie,
Zawsze cudnych szat jest panią,
Choć tak dawno, bo w Edenie,
Sam je Stwórca włożył na nią.

I ten duszy swéj zachwytem
Z niéj wyczyta tę myśl zdrową,
Że prostota wdzięków szczytem,
Bo natura ich królową.

E. Leja.

* * *

Zmiany atmosferyczne tegorocznéj wiosny, tak szybko następują; tak nagle przechodzimy z upału do chłodu, z watowanego surduta do leciuchnéj okrywki, że jeżeli zimę tegoroczną słusznie policzono dla jéj łagodności między cuda Boże, to wiosnie należy co do ciepła nazwa najzmienniejszéj i najniestalszéj. Rozpoczęta nawet upałami, tak że zaraz z początkiem Maja otwarto kąpiele wiślane, w połowie miesiąca nagle się oziembiła: jednego poranku nagle pokazał się lód na wodzie, a mróz biały na trawie i ogrodowiznach. Czerwiec zapowiadający stałą pogodę, niedawno obdarzył nas upałem wynoszącym 25 stopni w cieniu, Warszawa stała się nieznośną, bruk, ściany kamieniczne, dachy po większéj części blaszane, ziały parem, powietrze dusiło, ścieki fermentowały; — na drugi dzień upał zniżył się na 16 stopni, a trzeciego dnia na osiem tylko, i tak się oziembiło, że osoby drażliwe na chłód, jedynie dla wstydu nie okryły się futrami.

Naśladując szybkość zmian atmosferycznych, ogród Saski, nie dawno strojny w olbrzymie bukiety kwitnących kasztanów, układające się z cudowną symetrją i wspaniałością jakiéj szafarzem może być jedna tylko natura, niby znudzony prześliczną swą szatą, otrząsł pył kwiatów, zasypał jak puchem wszystkie drogi i trawniki, a obecnie okrywa się młodziutkiemi szyszkami zielonych kasztanów smutnie sterczących na obnażonych z kwiatu łodygach.

Kurz także zmniejszył się, choć suknie damskie obowiązki zamiataczy ulicznych z jędną zawsze pełnią gorliwością; ale ulice skrapiają często deszcze i zlewa je administracja ogrodu część więc sukni wlokąca się po ziemi, wojny z pyłem nie toczy, który zamiast unosić się w mglistych tumanach duszących oddech i oślepiających oczy, pokornie jakby przykuty leży przy ziemi, z upragnieniem zapewne wyglądając suszy i upałów. Ptaszyny już zaczynają cichnąć, tylko dziatwa jak zawsze wesoła, gwarem napełnia ogród, szczęśliwa że choć tam może swobodnie, wybiegać się, wybrykać i nacieszyć zielonémi trawnikami i szumiącą liściem drzewiną.

Chociaż dziatwa i jéj igraszki, zdaje się iż nie podobna, aby znalazły niechętnego dla siebie, ktoś jednak cytryno-octowego humoru, o pomarszczonéj zapewne twarzy, żółtych zapadniętych policzkach, wyłysiałéj głowie a zgarbionych plecach, przysłał do Kurjera Warszawskiego artykuł, dowodzący potrzeby usunięcia z alei spacerowych ogrodu, wszelkich piłek, sznurów i obręczy, stanowiących główną rozrywkę młodéj generacji, zapewne dla większéj swobody prowadzenia dysputy o polityce, zażywania tabaki i ucierania nosa. Kurjer poczciwy zaprotestował przeciw temu barbarzyńskiemu żądaniu, a my posuwając daléj to ujęcie się za prawami dziatwy, zapytamy się administracji ogrodu, dlaczego wzbroniwszy wstępu do téj własności publicznéj małemu pokoleniu wyznania Mojżeszowego, dozwala na przekomarzanie się z niém przy wejściach do ogrodu i odganiania go na środek ulicy? Wszakże chętka ta do zabawy w ogrodzie, napada dzieci Izraela zwykle raz na tydzień w dzień sobotni: ubiór ich jak uważałem zawsze wtenczas bywa czysty i staranny; cóżby więc stracił ogród i używający w nim przechadzki, gdyby kilkadziesiąt dzieci Żydów polskich, pomięszało się z naszemi, i w wspólnych pląsach zbliżyło się do siebie? Dążność zagubienia szwargotu zepsutéj niemczyzny, na którą tak słusznie powstajemy, razem z wykształconemi Izraelitami, wieleby na tém zbliżeniu zyskała, czego dowodzenie zdaje mi się być zbytecznėm.

W zeszłym numerze Tygodnika podałem wiadomość o doktorze medycyny, chirurgji i akuszerji pannie Emilji Blackwell, Amerykance, która przez lat cztery walcząc z przesądem i ciemnotą ludzką, rozwinęła taką siłę woli, pracę i energją, że schyliwszy przed sobą z poszanowaniem głowy najzawziętszych nawet przeciwników, wywalczyła stanowisko, jakiém mało kto pochlubić się może. Rozważając szczegóły téj męczeńskiéj walki, zdobywającéj z takim trudem naukę i tryumf jéj ostateczny, brała mnie aż zazdrość, że panna Blackwell nie jest Polką, tylko Amerykanką. Ale i nam choć w części, choć na mniejszą skalę nie brakuje równie zaszczytnych przykładów

Pomijając kilkanaście niewiast polskich obecnie tak chlubnie i pożytecznie pracujących z piórem w ręku, historja zeszłego wieku zapisała na swych kartach imię Kunegundy Komorowskiéj, jako autorki i kobiety wysoko wykształconéj.

Panna Komorowska starościanka Ochodzka i Rudzińska, pomimo ogólnego popędu do zabaw i wesołości, jakie z taką grozą w zepsutéj części narodu panowały na dworze Stanisława Augusta, pomimo wreszcie tytułu hrabioskiego i stosunków, nęcących ją do tych bachusowych bachandrji, od młodego wieku okazywała szczególne zamiłowanie do nauki, i kiedy inni w brzęku kielichów i w radosnych podskokach cudzoziemskich menuetów, szukali oszałomienia jęków własnego sumienia, ona pochylona nad książkami, robiła wyciągi, uczyła się, przygotowując dzieła do druku.

Nauczycielem i doradcą jéj naukowym, był Sebastjan Ustrzycki Pijar, a Rusin z rodu, który zdumiony szczególném zamiłowaniem Komorowskiéj do matematyki, napisał dla niéj w r. 1778, Algebrę w dwóch częściach, powiadając w przedmowie:

— „Ty uznałaś, że dziełko moje pod tytułem Algebra, tak ułożone nie jest, ażeby nauka ta, jak się zdawało przedtém, była niedostępną, a rzadko komu udzielającą się umiejętnością. Tyś ją w rękopiśmie jeszcze dawaną przy tylu innych naukach, zwyczajnych zabawach Twoich, w przeciągu dwóch miesięcy przebiegła i tak szczęśliwie zrozumiała, iż Cię dziś najzawilszych zagadnień rozwiązywanie nie zatrudni.”

Ale panna Komorowska nie tylko do nauk matematycznych miała zamiłowanie, ale nadto starała się o dokładne poznanie łaciny, i oprócz własnéj mowy, języków włoskiego i francuzkiego. Czytając starożytnych klassyków, zdumiona pięknością i gruntownością znajdujących się w nich myśli, przetłómaczyła niektóre z nich wyjątki pod tytułem: Wybrane ze starożytnych świeckich pisarzów dzieje, ze zdaniami i wyrokami mędrców o powinnościach ludzkich. W przedmowie wyjaśniając cel pracy swéj powiada:

— „Czytając starożytnych klassyków, dziwiłam się obfitości i czystości tego, wielu innych języków źródła, a w książce upodobanéj widząc pełnosć tego żywiołu, którym się rozum zasila, to jest myśli piękność, zdań gruntowność, wyroków oszczędność i ów starożytnych dziejów i przykładów wybór, który wystawuje czytelnikowi żywy obraz powinności obyczajów, cnót i heroizmów ludzkich, zaczęłam pragnąć, aby cały mój naród mógł mieć i widzieć kopję tych oryginałów, które mnie się podobały. Jakoż postanowiłam nieodwłocznie, pierwszą dzieła tego część tłómaczyć, drugą brat mój przedsięwziął. Tłumaczenie z pod pióra naszego poszło pod krytykę nauczycieli a z rąk ich pod drukarską prasę.” Dziełko to wydane zostało w r. 1779.

We trzy lata późniéj w r. 1782, panna Komorowska wydała tłómaczony z włoskiego dramat Piotra Metastazjusza pod tyt. Temistokles, gładką i czystą prozą, wszystkie jednak w nim arje ułożyła wierszem. Na czasy owe, chociaż niby zalecające się rozbudzeniem umysłowem, niewiasta poświęcająca się nie zdobyciu pobłysku oświaty, ale gruntownéj nauki, do tego młoda, herbowa, bogata i utytułowana, była zjawiskiem ze wszech miar godném wielkiego uwielbienia. W prawdzie o wiele ją przewyższa Amerykanka siłą woli i męztwem duszy walczącéj z tyloma przeszkodami, ale dzisiejsze pojęcia potrzeby oswiaty, bieda jaką była otoczona panna Blackwell, przyczyniły się bez wątpienia wiele do obudzenia zapału z jakim poświęciła się nauce medycyny. Panna zaś Komorowska zupełnie żyła w inném otoczeniu, majątek wyłączał ją od wszelkiéj pracy, świat zajęty rozrywkami nęcił ją do zabaw i rozkoszy, potrzeba oświaty gruntownéj więcéj pojmowaną była jako piękny frazes, niż jako rzecz rzeczywiście nadająca człowiekowi stanowisko w społeczeństwie bawiącém się i hulającém: jeżeli więc Komorowska uczyła się, przenosząc zajęcie umysłowe nad wszelkie rozkosze światowe, to kto wie czy zapał jéj do nauki nie podsycany niczém, nie był większy od zapału panny Blackwell? Komorowska bowiem uczyła się dla saméj jedynie nauki, Amerykanka dla nauki i chleba.

Tegoczesny jednak popęd do oświaty, dziwne czasami miewa objawy. Z Drezna np. donoszą, że p. G. A. Müller krawiec a przytém założyciel i dyrektor akademji mód w tém mieście, o teorji sztuki krawieckiéj miewa odczyty i przytém pisze poezje przeciwko Francji. Powiadają, że w teorji daleko jest szczęśliwszym, niż w praktyce, mówiąc pięknie kraje i odziewa szkaradnie, a trawiony żądzą sławy dobija się piórem, nie mogąc tego zrobić igłą i nożycami. Mimo tego odczyty ciągle prowadzi, drukuje książki i satyry patryotyczne przeciw nienawistnym sobie Gallom, ich zepsuciu obyczajów i zwróconym ku Renowi bagnetom.

Rozsądniejszym znacznie, bo trzymającym się swego fachu, i zgarniającym z niego porządne grosiwo, jest Poole krawiec nadworny książąt Walji. Dzienniki ogłaszając o jego przyjeździe, wyraziły się bardzo krótko: Wczoraj sławny Poole przybył do Paryża.

Czytając podobne ogłoszenie, zdawałoby się, że Poole jest dyplomatą europejskim, wtajemniczonym we wszystkie sekreta dworów, jeniuszem lub wreszcie sławnym jakim artystą: tymczasem jest on tylko najdoskonalszym krawcem.

W salonie wspaniale urządzonym przyjmuje panie; studjuje ich budowę, każe brać miarę swym pomocnikom, sam zamyśla się, przygląda, cofa się i przybliża, odskakuje, zasłania oczy, mruży je, a świat elegancki rozbija się u drzwi jego, z niesłychaną cierpliwością wyczekuje audjencji i ma się za szczęśliwszego, gdy włoży suknię, na któréj kołnierzu wyczyta wybity złotemi literami napis. Poole.

Popularność taka, dla używającego jéj, to prawdziwa kopalnia złota, a chociaż każdy stan uzacnia praca i charakter człowieka, rzadko jednak w prawdziwie pożytecznym zawodzie dobić się

można podobnego uznania. Robota sukni, zła lub dobra, nie cofnie postępu ludzkości, ani jéj przyśpieszy, chociaż co prawda, że w świecie jak cię widzą, tak cię piszą. Nie zazdroszczę więc panu Poole jego powodzenia, mimowoli jednak nasuwa mi się pytanie, w pewnéj kwestji dosyć ważnéj.

Znacie konkursa, w których nagroda pieniężna wyznacza się jako zachęta do pracy w pewnym danym kierunku, mającym przynieść rzeczywisty dla kraju pożytek.

Ostatni np. u nas konkurs tyczący się propinacji i gorzelnictwa, przyrzeka kilka tysięcy złp. za rozwiązanie danych zapytań. Inne konkursa nie wiele bywają większe, a znajduje się wiele takich co i tysiąca złotych obiecanéj nagrody nie wyneszą. Tymczasem na kursach końskich w Paryżu, czyli na konkursie mającym na celu nie walkę rozumów i myśli ludzkiéj, ale po prostu szybkości nóg podkasanych chartowato szkap, wielką nagrodę dla najszybszego bieguna oznaczono na 100,000 franków, czyli na blisko *Dwakroć sto tysięcy złp.!*

Żadne dzieło sztuki ani literatury, nigdy jeszcze jak świat światem, nie zostało tak sowicie wynagrodzone. Otóż pytam się Was dlaczego krawcy niektórzy robią majątki, a literaci boso chodzą i zwykle siedzą w długach po uszy? Dlaczego końskie nogi odbierają krociowe nagrody, gdy ludzkie głowy zwykle setkami zaledwie bywają płacone?

Nim na to odpowiecie, powiem Wam pod sekretem, że nie długo przyjdziemy do téj zapewnie błogiéj pewności, iż najlepiej będzie się urodzić koniem, nb. koniecznie wyścigowym, potém małym pieskiem, kanarkiem, papugą, wieprzem młynarskim, potém.... baletniczką, mamką, a w końcu dopiero na setném miejscu, człowiekiem utalentowanym. Poczciwym zaś z rozumem, z sercem i poświęceniem.... nigdy!



Nie raz już powtarzaliśmy, że prostota połączona z powagą, stanowią główną cechę dzisiejszego ubrania. Widzieliśmy nowy dowód tego, w skromnéj wyprawie przygotowanéj obecnie w magazynie panien Kuhnke. Cała ta wyprawa składała się z czterech sukien, między któremi nie było ani jednéj jedwabnéj.

Do ślubu miała służyć sukienka muszlinowa biała, przybraną u dołu nad obrębkiem jedną, ruszą. Stanik gładki, wygarnirowany był wązką rnszką odznaczającą niby kaftaniczek grecki. Z tyłu spadała kokarda muszliuowa z szarfami zakończonemi ruszą. Rękawy zwężone zupełnie u ręki, rozszerzone w górze, podwiązane były wstążką białą, przez co tworzyły buffę spadającą od ramienia. Dwie kokardy zdobiły ramiączka. Stanik u szyi równie jak brzegi rękawów, wygarnirowane były ruszką muszlinową. Dopełniał ubrania welon tarlatanowy w kształcie burnusowym, podpięty wiankiem z myrtu.

Suknia fularowa w drobny rzucik biały, miała spódniczkę gładką. Stanik do paska przystrojony był ruszami z czarnego fularu, z białem przystębnowaniem u brzegu. Rusze te szły po nad ramiączkami, zawracały się z obu stron w kant; schodziły na przodzie, odznaczając jakby karczek czworograniasty. Poniżéj przechodziły jeszcze dwa rzędy ruszek w poprzecz stanika. W miejscu gdzie się te ruszki schodziły dane były trzy kokardy ze wstążki czarnéj, z białym brzeżkiem. Z tyłu spadała czarna szarfa z wypustką białą, zakończona u dołu czarną ruszą.

Trzecia suknia czarna z batystu wełnianego, miała u dołu wypuszczoną takąż samą falbaneczkę. Stanik z kamizelką jedwabną, wygarnirowany był wodą *a la vieille.* Rękawy suche, wolne aby ręka przejść mogła, miały w górze epolet z takiejże wody u ręki kończyły się odpowiednim mankietem. Szarfa czarna jedwabna, przewiązana z przodu dopełniała ubrania.

Ostatnia suknia do tejże wyprawy czarna z klarownego bareżu, wygarnirowana była u dołu podwójną ruszą tworzącą jakby łańcuch. Cały garnirunek zajmował szerokości pół łokcia. Stanik marszczony w kształcie gorsecika szwajcarskiego, z zębem podniesionym w górę tak z przodu jak na plecach przyszyty był do gładkiego karczka, wykrojonego odpowiednim kształtem, na przyszyciu dana była ruszka bareżowa. Rękawy wązkie u ręki rozszerzone w górze, podwiązane były wstążką z końcami przez co spadała buffa od ramienia; u ręki kończyły się ruszką. Szarfa jedwabna ze spadającemi z tyłu końcami dopełniała ubrania.

Do tegoż magazynu nadszedł nowy transport okrągłych kapelusików. Z pomiędzy nich zwrócił uwagę naszą bardzo ładny i lekki, czarny włosianny, z główką dosyć wysoką, i małym rondkiem opasany dwa razy wstążką czarną. W środku

zdobił go bukiet złożony z czarnego owsa, długiéj rawy i jagód.

Inny kapelusz słomkowy, miał rondko podniesione z jednéj strony. Przód zdobiły dwa krótkie piórka strusie, z po za nich spadało wielkie pióro przerzucone na tył kapelusza przez główkę.

Trzeci kapelusik odwinięty z obu stron, miał rondo obłożone aksamitem, główkę opasaną trzema takiemiż wałkami. Z przodu szła kokarda aksamitna złożona z trzech pukli podniesionych w górę, z po za niéj spadało na tył długie pióro.

Wszystkie w ogóle kapelusiki nie miały kokard z końcami z tyłu, opasane tylko były wstążką lub aksamitem.

Panny Kuhnke sprowadziły także znaczny zapas krynolin, zalecających się zgrabnym kształtem dostanie ich zacząwszy od złotych 30. Wszystkie teraźniejsze krynoliny, zupełnie są płaskie w górze rozszerzone dopiero u dołu, i to w stosunku daleko mniejszym niż dawniéj. Najwięcéj uważaliśmy z lekkiéj piki białéj, w przerabiany desenik spinają się na guziki z jednego lub dwóch boków. Niektóre mają u dołu dwie falbaneczki karbowane wyszyte sutaszem czarnym.

W kołnierzykach nie widać nic nowego. Do najmodniejszych dotąd należą webowe, podniesione z tyłu, z koniuszczkami odwiniętemi na przodzie. Jedne z nich haftowane wąziutką czarną bawełną, inne po prostu przestębnowane parę razy. Do takich kołnierzyków rękawki powinny być muszlinowe z mankietem szerokim płóciennym, spiętym na dwa guziki, lub wykładane i wykrojone w środku, co tworzy dwa rogi jak w kołnierzyku. Formy takich kołnierzyków i mankietów, znajdują się na arkuszach deseni do haftu.

Wiele także widać maleńkich kołnierzyków okrągłych, z wąziuchną karbowaną falbaneczką. U rękawków szeroki mankiet zakończony bywa falbaneczką u ręki.

W magazynie pani Klementyny zwróciły naszą uwagę bardzo ładne spódniczki czarne z wełnianego fularu czyli *sztoffu*, z takiemiż kaftanikami lub paletocikami. Jedna z nich obszyta u dołu fałdowaną falbanką, miała po bokach zgrabne kieszonki okrągłe wygarnirowane do koła. Kaftaniczek do niéj złożony cały z kwaterek, wpadający do figury miał przody zaokrąglone u dołu, ogarnirowany był falbanką rypsową a brzeg falbanki jeszcze wąziuchną fałdowaną wstążeczką.

Druga spódniczka czarna wełniana, miała u dołu dwie karbowane falbanki; nad niemi szło naszycie z sutaszu czarnego z białym. Paletocik ogarnirowany był dwoma węższemi falbankami i naszyty odpowiednio sutaszem.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia czarna jedwabna, przybrana u dołu szerokim wolantem fałdowanym i taśmą szmuklerską ażurową z bombkami. Stanik z karoczkiem. Rękawy zuawskie. Okrycie kaszmirowe na fularowéj podszewce wyszyte sutaszem. Płaszczyk ten prosto jest krajany na plecach i fałdowany pod rękawami. Z ramion spada draperja fałdowana, wyszyta sutaszem i przymocowana przepięciami szmuklerskiemi. Kapotka czarna krepowa, ubrana piórami.

Figura 2. Suknia czarna jedwabna, naszyta u dołu takiemiż skośnemi plisami i wązką aksamitką. Stanik o dwóch bawetach z przodu i na plecach. Plisy formują bertę na krzyż założoną na plecach. Rękawy fałdowane w ramionach, a ściśnione u ręki aby tylko przejść mogła. Kapotka jedwabna, z bufowaną główką ubrana koronką i piórami.

Ubranie panienki 5-cio letniéj. Spódniczka i kaftanik czarny rypsowy, obłożony drobniutkim barankiem. Sukienki pikowe i kaftaniki obszywają się taśmą szmuklerską. Kaftaniki wełniane pliską jedwabną. Kapelusz słomiany popielaty przepasany aksamitką i ubrany piórami.

KORRESPONDENCJA.

Od pana Bau. Odebraliśmy na kościół panien Marjawitek, złp. 6 gr. 20 i od T. P. na statuę S-go Józefa, do tegoż kościoła, złp. 166 gr. 20. — Pani Ma. Wer. i Mo. Swo. Biblioteki popularnéj wyszedł dopiero tom pierwszy.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka z modami.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 25 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 20 Czerwca 1863 roku. *8 Czerwca.*

MROWIN I TROCK.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

CZĘŚĆ II.

(Dalszy ciąg).

5.

Niemasz nic tajnego, coby się kiedy nie odkryło.
Ks. Piotr Skarga.

Gdzie są kwitnące maki po wstęgach zagonie?
Cicho — odludnie — zimno!
J. Słowacki.

Był to cios, ze wszystkich ciosów najdotkliwszy!
Julius Cezar. (*Szekspira*)

Gdy Anna następnie zeszła na śniadanie, dreszcz ją przechodził i była bledziutka. Pan mecenas ani zważał na nią: rozprawiał dużo, wesoło, zajadał smaczno, sypał monsstrualne komplementa pani domu, pannie Klementynie — i raz po raz kieliszki wychylał — które mu nader grzeczny gospodarz nalewał skwapliwie.

— Pani znasz pana mecenasa? — zapytał ją Łasiński, przystępując do niéj po śniadaniu, i zmierzył ją wzrokiem.

— Widzę go raz piérwszy — odrzekła spokojnie, lecz głos jéj drżał nieco.

— Doskonały prawnik i *zacny* człowiek — wymówił z przyciskiem — zabawi tu dni parę: reguluje majątek państwa Rożniszewskich .... rozporządzają dzieci — odchrząknął i posunął się ku mecenasowi.

Anna wyszła z salonu i w ogród pobiegła.

„Po cóż Łasiński mówił jéj o tém?” — zapytywała siebie — „po cóż zapytywał, czyli ona zna mecenasa? Po cóż jéj mówił, że państwo Rożniszewscy rozporządzają dzieci?” — Łasiński rzadko do niéj zagadał, i to jedynie-li obojętnie bardzo. Po cóż jéj dzisiaj tych wiadomości udzielał? — Natłok różnych myśli ścisnął jéj głowę, niby okową z żelaza: zamajaczyła Klementyna z Wojarowskim — i Anna szybciéj biedz zaczęła, jak gdyby uciekając od cierpienia, od bólu — od niebezpieczeństwa! — Biegła w głąb ogrodu, gdy wtém — z poza krzewiny — mignęła jéj różowa spódniczka, zielony gorset, i rumiane, uśmiechnięte lice poczciwéj Nastki. To był dla niéj istnie, niby jaśniejszy promyk w pośród téj gmatwaniny myśli i przypuszczeń, tłoczących głowę i serce — i pogodniejsza do przywiązanego zbliżyła się dziewczęcia. Poszły pospołu daléj, gdzie kanał odłączał ogród od lasu. Usiadły pod starym dębem — i zwykła odbyła się książkowa nauka. Potém wzięła ją Anna do swojego pokoju, i białe rozpoczęło się szycie.

Przed herbatą zebrało się towarzystwo w tak zwanym *letnim salonie*. Anna siedziała tuż przy galeryi z robotą w ręku — Klocia skakała w około: to zbliżyła się do stołu, przy którym matka, siostra i panowie siedzieli, to usiadła przy Annie i szczebiotała jéj jak zwykle.

Zaturkotało na dziedzińcu, i przed pałacem lekki zatrzymał się koczyk, mocno zakurzony; trzy kasztanki opylone i zmęczone także o kilkonastomilowéj świadczyły podróży. Woźnica w zwyczajnym był szaraczku. Z koczyka wysiadła kobieta wzrostu słusznego, ubrana w cienką żałobę.

— Ktoś zajechał — wymówiła pani Rożniszewska.

Łasiński poskoczył ku galeryi i zawołał:

— Pani Palicka!

— Aha! — wybiegło z ust mecenasa.

— Ona?! — zdziwiła się pani domu, gdy na lica samegoż pana mocniejszy wystąpił rumieniec; lecz porwał się i wybiegł na spotkanie gościa:

— To *wizyta!* — poszepnęła Klementyna, krzywiąc się z niechęci.

Klocia, wyglądająca przez galeryą, objaśniła tymczasem Annę:

— Pan Palicki, mąż téj pani, był kuzynem ma-

my, a umarł będzie rok blisko. Pani Palickiéj mama i Tynia nie lubią: *taka sobie* szlachcianka, wcale nie *bon genre*, jakby pani Zdarnowska.....

W téj chwili wprowadził pan domu przybyłą panią. Pani Rożniszewska powstała z wymuszono-uprzejmym uśmiechem; przybyła pochyliła się ku jéj ramieniu, lecz wyprostowała się i zaraz znowu — a mocny rumieniec jéj całe, ogorzałe oblał oblicze. Panna Klementyna, podniosłszy się zlekka, rękę wyciągnęła ku niéj — a pan Rożniszewski przysunął jéj fotel ze słodziuchnym wyrazem.

— Niech pani zdejmie kapelusz — dodała pani domu grzecznie.

Pani Palicka uczyniła zadość temu wezwaniu.

— Zkądżeż kuzynka drbrodziejka dziś jedzie, czy z domu? — zapytał pan Rożniszewski, przysuwając się do niéj.

— Nie z domu — odrzekła — byłam w *, miałam interes w sądzie, dowiedziałam się, że pan mecenas — zwróciła się ku Gębskiemu — jedzie do Trocka, więc udałam się za nim.... — pani Palicka coś tam nie dokończyła, i chwilowa nastąpiła cisza.

Mecenas uśmiechnął się i zakaszlał.

— Jakżeż się miewają dziateczki kuzynki dobrodziejki? — zaczął znowu pan domu, ze zwykłym sobie miodowym wyrazem — Jaś uczy się dobrze?

— Dziękuję panu referendarzowi za pamięć łaskawą — odrzekła pani Palicka, lekkie tłumiąc westchnienie — sierotki moje zdrowe. Jasia chwalą profesorowie. Biedne dzieci! — i matka miała łzy w oczach.

Anna z współczuciem wejrzała ku niéj.

— Cóż tak długo herbaty nie dają! — zagadał pan domu powstając, jak gdyby dla przerwania niemile poruszonego przedmiotu. — Kuzynka jest znużona podróżą.... Wołałem już przecie — i zadzwonił.

— Przyniosą — ozwała się z flegmą pani domu.

Właśnie też ukazała się służba z całym do herbaty przyrządem. Pani Palicka wśród tego ruchu przysunęła się do mecenasa i półgłośną, krótką odbyła z nim rozmowę — poczém znowu dawniejsze zajęła miejsce.

Całe towarzystwo było powarzone jakoś; rozmowa wlokła się przymusowo — lubo że Łasiński usiłował przykrasić ją konceptami swojemi.

Po herbacie chciała Anna przejść się jeszcze trochę, ale pani Rożniszewska ją wstrzymała, mówiąc:

Zostań się panna Anna raczéj z nami: jest chłodno, zaziębić się łatwo.

Było to zupełnie niezwykłe, i guwernantka domyśliła się, że była potrzebną do zwiększenia towarzystwa.

Rychło, ponad przyjęty zwyczaj udali się wszyscy na spoczynek.

Nazajutrz, po drugiém śniadaniu, gdy towarzystwo do salonu przeszło, a Klocia bawiła przy matce, — wróciła Anna do swojego pokoju, pokazała Nastce, jak ma wystębnować kołnierzyk, wzięła zeszyt, kałamarz i pióro — i kiwnąwszy dziewczęciu:

— Wrócę za pół godziny — szybko zbiegła ze wschodów, udając się do biblioteki. Korzystała skwapliwie z chwili, gdy wiedziała, że biblioteka jest próżną, bo jéj chodziło o niektóre historyczne notatki. Biblioteka była otwarta, jak to od pewnego czasu bywało, bo pan Rożniszewski miał ciagle jakieś w kancelaryi zajęcie. To też stół kancelaryjny zalegały akta i księgi — lecz Anna ani spojrzała na nie, spiesząc w zakątek książkowy. Zaledwie wszelako usiadła, gdy wbiegł ktoś za nią z pośpiechem, i ujrzała przed sobą panią Palicką, podrażnioną i wzburzoną szczególniéj.

Anna na jéj widok powstała.

— Siadaj pani! Przez miłość Boga zachowaj się spokojnie! — i popchnęła ją na krzesło.

Poza drzwiami dały się słyszeć głosy pana domu i mecenasa.

— Wychodzę! — zawołała Anna, powstając znowu.

— Cicho! Zostań! — i przytrzymała ją przerażona. — Nie gub mnie i sierot moich.

Anna pobladła, nie pojmując co sie dzieje.

— Przy kupnie dóbr w Krakowskiem — szeptała jéj głosem drżącym pani Palicka — ustąpił mąż mój z 60,000 złp., które mu Rożniszewski w hipotekę późniéj zaciągnąć *poprzysiągł*.... Mąż mój umarł nagle.... Teraz Rożniszewski zapiera wszystkiego!..

Anna dłońmi zacisnęła oczy.

— Idą! Cicho! — i żelazną ręką przytrzymywała drżącą Annę.

Drzwi z łoskotem otworzono i weszli: mecenas i pan Rożniszewski.

— To i gdzież jest ten istrument? zapytał Gębski.

— Ot, tu! — wskazał pan Rożniszewski.

— Interes o Mrowin czysty zupełnie.

Anna pobladła nagle.

— Ale — mówił mecenas daléj — potrzeba Warnikowi one pięć tysięcy za jego fatygę wyliczyć i przechowanie sekretu.

— Otrzymał..... i korzystniem go umieścił w Żarczynie — odrzekł Rożniszewski.

— To swoją drogą. Jeżeli kontent, to i cóż mnie do tego.

— Zadowolony!

— A wypłata, za odrabianie téj czynności, moich 30,000 kiedyż nastąpi?

— Za wiele żądasz, mecenasie, za wiele!

— Alež, ba!... Pieczone gołąbki!... Jeździłem, perswadowałem; masz Mrowin za bezcen, a targujesz się ze mną!... Mógłbym się nawet był *skompromitować* z temi babami.

— No, to przynajmniéj poczekaj!

— Zyskałeś przy kupnie Mrowina przeszło sto tysięcy...

— Odłużmy ten obrachunek na jutro — wyrzekł niecierpliwie pan Rożniszewski — a teraz mówmy o Palickiéj, bo mi wlazła za kołnierz.

Biedna kobieta po za ścianą książkową zadrgnęła — i obiedwie, wdowa i sierota, blade, nękane, wspierały się wzajemnie.

— Ha! *racya!* Kobieta zacięta jak diabeł.

— Czart ją tu sprowadził.

— Napastowała i mnie listami, i ot, przygoniła za mną. Patrzeba coś zrobić, zaspokoić ją, bo jak mi zechce *deferować* przysięgę.... Toćże instrument już wygotowany, i miałbyś oddawna temi 60,000 zamazaną hipotekę, gdyby nie nagła śmierć jego....

Gorączkowo, energicznie, pociągnęła pani Palicka, Annę za sobą, i obiedwie — jakby widma smętarne — stanęły przed oczam dwóch spólników nespraw niecnych, przerażonych strasznie tém nagłem zjawiskiem.

— Panie Rożniszewski i panie mecenasie!— zawołała pani Palicka, wydobywając krzykliwo-piskliwe wyrazy ze ściéśnionéj piersi — Bóg nad nami i sądy Jego! Oddajcie zagrabioną puściznę sierotom i wdowie!.. Myśmy wszystko słyszały!.... — puściła rękę Anny, która blada, złamana, bezprzytomna niemal, chwiejącym krokiem, o ile podała, spiesznie wybiegła. Po za drzwiami przytuliła skulone dłonie do piersi, i wlokła się ku wschodom, jak mara. W téj chwili wchodził właśnie do sieni Stanisław i Łasiński — spotkały się ich oczy — Anna zachwiała się — i ująwszy poręcz, zaledwie wejść po wschodach zdołała.

— Co to? Cóż to? — zapytał Stanisław, i posunął się za nią, lecz Łasiński powstrzymał go nagle.

— Daj pan pokój! Nie mięszaj się w to!.... Wydały się sprawki z Alfonsem — dodał ciszéj— i rozpoczęły się sądy.

Stanisław pobladł. Łasiński ujął odurzonego pod rękę i do salonu go wprowadził.

Gdy Anna do swojego weszła pokoju — upadła na krzesło i głośnym, jękliwym wybuchnęła płaczem.

— Co to? Mój Jezu, co to? O, Matko przenajświętsza! — wołała Nastka, uklękła przed nią i objęła ją w ramiona.

Anna wsparła się na niéj — jak gdyby ulgi w przyjazném szukała objęciu; łzy jéj obficiéj płynąć poczęły, i krzykliwe, żałośne wolniały jęki. Nastka rzewliwie płakała.

Po chwili drzwi szybko otworzono, i wbiegła pani Palicka — mocny, gorączkowy rumieniec, zastąpił teraz siną bladość jéj twarzy.

— Biedaczko! biedaczko! Przepraszam!—zawołała, siadając obok niéj, i wzięła ją w objęcie.— Biedna sierotko! Posłyszałaś niechcący, jak to złupili biedną matkę twoją! — i przycisnęła płaczącą do piersi — Wydarli wam Mrowin, zabrali mienie całe, popchnęli was w niedostatek, i ty jeszcze wysługujesz się temu, który was wszystkiego pozbawił!... O sprawiedliwości Boża!

Łzy trzech kobiet coraz obficiéj płynęły. I Nastka poczęła dorozumiewać się, o co chodziło, co zaszło.

— Bóg sam chciał — ciągnęła daléj wdowa— żem ciebie w bibliotece zastała, żem ciebie gwałtem przytrzymała niemal, żeś przypadkowo posłyszała wszystko!... Opuść dom ten co rychléj, dziecko .... dziś jeszcze! bo nie tutaj jest miejsce dlaciebie. Bóg opiekuje się wdową i sierotą, i nie zapomni o tobie. Precz ztąd, biedna sieroto!

— Tak, tak, ani chwili dłużéj! — zawołała Anna, porywając się nagle, i przycisnęła dłońmi silnie uderzające skronie — ani jednéj chwili!... Napiszę, zaraz napiszę! — otarła łzy, pobiegła do stolika, i drżącą ręką nakreśliła do pana Rożniszewskiego następujące wyrazy:

„Zaszły przed chwilą wypadek, przekonywa zapewne Pana Dobr, że mi w Trocku nie podobna dłużéj pozostać. Proszę zatém, ażebyś mnie Pan Dobr. dziś jeszcze do kolei żelaznéj odesłać raczył.

Z powinnym szacunkiem.

Anna Jarosławska."

Zadzwoniła — i pismo swoje przez służącą odesłała.

Pan Rożniszewski kazał jéj odpowiedzieć: że powóz za półgodziny będzie na jéj rozkazy.

Skrzętnie przeto zajęła się upakowaniem rzeczy, w czém jéj dopomagała Nastka, zanosząca się od płaczu: że swoję ukochaną paniunię postrada.

Gdy powóz zaszedł i wszystko do podróży już było gotowe, pożegnała panią Palicką, uścisnęła Nastkę — i zeszła na dół, do salonu, by panie pożegnać.

Pierwszą osobą, której wejrzenie spotkała, był pan Stanisław — zranił ją wszelako wyraz niechętny i zimny téj twarzy, która zwykle tak przyjazno do niéj mówiła — i nagle spuściła oczy.— Biedaczka nie wiedziała jeszcze, że wśród cierpień i niedoli, i niecna potwarz zwykła biedną szarpać ofiarę! — Przystąpiła do pani Rożniszewskiéj, poszepnęła jéj słów kilka grzecznych — bo na więcéj zdobyć się nie mogła; pożegnała pannę Klementynę; ze łzami uścisnęła Klocię — obejrzała się: nikogo więcéj w salonie nie było — zniknął także i Stanisław.

Sama nie wiedząc jak, znalazła się przed pałacem. Przypomniała sobie ów piorun, gdy po raz pierwszy na ten *peron* wstępowała.... — Nikt ze służby nie przydążył — nie było nawet i Agatki: wszyscy się lękali, by *zdyzgracyonowanéj* guwernantce zbyt wiele nie okazać usłużności i przez to w niełaskę nie popaść! — Klocia za nią nie wyszła — Łasiński umknął — Zegier ani się pokazał — nie było nikogo!... — Względy i *względeczki* kierują czynnościami małych ludzi.

W odurzeniu, niemal bezprzytomna wsiadła Anna do powozu. Powiodła badawczo wzrokiem do koła — konie z miejsca ruszyły, i już *nikogo* nie ujrzała więcéj. Serce biedaczki gwałtownym ścisnęło się bólem. Po za bramą raz jeszcze na prawo i na lewo wyjrzała — jak gdyby okiem szukała kogoś — rzuciła się w głąb powozu, i pozostała jakby martwa. Po długiéj chwili ruch pojazdu ukołysał ją nieco — niby rozburzone nerwy uspokoił zlekka. — Myśli wszelako zebrać nie mogła — które istnie były jak splątane pasma różnobarwnego jedwabiu, trudne, zbyt trudne do rozwikłania.

Powóz wlókł się po piasku. Anna, mając oczy otwarte, niby drzymała, a byłoby można uderzenia jéj serca dosłyszeć.

Jeszcze rok nie upłynął odtąd, gdy po raz piérwszy, tak samo, przebywała tę drogę. Wszystko, co ją wtedy spotkało, w żywych stanęło barwach: i owa burza — piorun — przestrach — wstęp do pałacu — Stanisław!.... — Jakby widmo zamajaczyła przed nią twarz jego, tak niechętna, tak zimna dzisiaj — niby pogardliwa!... Nie pożegnał jéj!... Wyszedł z pokoju, umyślnie zapewne!... Nie mogła płakać: był to ból nad bóle.

Stanęła we dworcu kolei żelaznéj. Zdjęto jéj manatki. Litujący się nad nią stangret — lubo, że nic nie mówił — ułatwił jéj wszystko: wiedział, że nikt z Trocka na niego nie patrzy; wykupił bilet, odprowadził ją do wagonu — i dopiéro odjechał, gdy pociąg już z miejsca ruszył.

W wagonie kilka siedziało osób: dwie kobiety i dwóch mężczyzn — lecz nie zważała na nich; zapuściła gęstą zasłonę, utuliła się w kąciku— i zagręzła w bezmyślném dumaniu — zdrętwiała upojona cierpieniem; jedne tylko rysy, jedno spojrzenie zimne, wzgardliwe, mając bezprzestannie przed sobą.

Kilka przeminęło godzin. Chłód wieczorny wiał ożywczo od pól przewonionych wiosną. Pociąg zbliżał się ku Warszawie. No ostatniéj stacyi pozostała się Anna tylko z jakimś starcem w wagonie. Odrzuciła zasłonę, wyjrzała przez okno. Za godzinę miała być *w domu* — a nikt jéj tam nie czekał!... Zastanie puste kąty mieszkania na Lesznie — i całe miasto, ludne, zgiełkowe, będzie dla niéj pustém — i hałaśliwie nieznośném. Cóż pocznie?.... Sama jedna!.... Ukołysane myśli szybkim a jednostajnym ruchem parociągu, rozbudziły się nagle na wspomnienie jéj sierocego położenia. Co począć?... Sama jedna!.... dotąd jeszcze i nie pomyślała o tém, bo inne dręczyły ją wspomnienia i bóle. — Sama jedna radzić o sobie będzie musiała!... Nie nawykła do tego, a na raz jeden została saméj sobie zostawiona!.. Ależ Julka! — i mignęło światełkiem na dnie jéj chmurnéj i smutnéj duszy.

Pociąg się zatrzymał: Warszawa! — Tłumu ludu w około. Jedni drugich witają — jéj nikt nie wita!... Nawet i żadnego znajomego nie widzi oblicza. — Zgiełk, wrzawa — bieganina— popychanie — i coraz tłumniéj i gwarniéj. Wcisnęła parę złotych jakiemuś posługaczowi — i w półgodziny potém ujrzała się w dorożce, podążającéj na Leszno. Obojętnie spoglądała na pełne ruchu ulice.

Stanęła w miejscu. Dorożkarz wniósł jéj kuferek i manatki na drugie piętro, i położył w sieni, bo mieszkanie było zamknięte. Zjawiła się jakaś kobiecina — Anna zapytała o Marysię.

— Znać wyszła, ale przecież nadejdzie — odrzekła zapytana.

Anna usiadła na kuferku; złożyła dłonie—i szeptała pacierze, bezmyślnie, lubo z gorącą modlitwą w duszy.

(d. c. n.)



TYGODNIK MÓD

w Warszawie

Nro 25.